

KONTRAPUNKTY

JAKUB

MAŁECKI

W ODBICIU



powergraph

JAKUB
MAŁECKI
W ODBICIU

KONTRAPUNKTY



powergraph

Warszawa 2011

1

Nie potrafię mówić o Pielgrzymie.

Umiem o nim myśleć.

Prawdziwego Pielgrzyma widzę już tylko w głowie. Ten, o którym usiłuję mówić, natychmiast wymyka mi się i zmienia w inne osoby. W pijaka. W ojca. W męża. W czyjegoś syna, przyjaciela, kochanka. W dobrze zbudowanego, wytatuowanego trzydziestolatka z zakolami. I zaraz potem w chudego włączę o spiczastym nosie.

Mnożąc kolejne jego wizerunki, niewyraźne i ułomne, jeszcze bardziej się od niego oddalam, jakbym podchodził z obiektywem aparatu zbyt blisko i nie widział już nic, prócz rozmytego fragmentu jego skóry lub ubrania.

Chcę ująć w słowa prawdziwego Pielgrzyma z mojej głowy, ale ten drwi ze mnie, staje przed lustrem utkanym z moich kolejnych nieudolnych zdań, a w odbiciu pojawia się nie jedna postać, lecz wiele. Żadna z nich nie jest Pielgrzymem.

Mówią, że każda historia ma wiele odbić, ale życiorys Pielgrzyma przypomina lej: wszystkie możliwe warianty zbiegają się ku jednemu finałowi. Mógłby szamotać się i szarpać z własnym życiem, mógłby wyginać je ku rzeczom wzniosłym lub całkiem błahym, krzesać z siebie bezinteresowne dobro lub zupełną podłość, a i tak nic by tym nie zmienił.

Miał kiedyś żonę i córkę, pracę i pieniądze – na tyle mało, by nie podróżować, i na tyle dużo, by uniknąć wstydu pożyczania przed pierwszym, miał dni wypełnione chręstem przelewanej w betoniarce masy i noce, kiedy zmęczonymi ramionami obejmował ciepłe ciało kobiety, miał zimy szare jak urabiany przez niego beton, te zimy, podczas których tygodniami nie widywał słońca, i miał lata, spędzane na dachach zalewanych żarem, miał poranki pachnące kawą, czarne, znieawidzone poranki i wieczory, odbijające się na twarzy lśniąca poświata telewizora, miał wszystko i nic nie miał. Potrzebował więcej.

Potrzebował wieczornego piwa, jednego, a potem dwóch – po pracy i tuż przed snem, potrzebował sobotniej wódki, ze znajomymi, a później bez znajomych, potrzebował setki wypijanej w ukryciu na przystanku i kolejnej, szybkiej, uspokajającej setki zamiast codzien-

nych kanapek z tyrolską, potrzebował zapomnienia, chwilowej czerni w głowie, by nie myśleć i nie czuć, wreszcie zapragnął czerni zupełnej.

Zaczęło się jak zawsze: przegrał pierwszą rundę z wódką, ta go znokautowała, a potem chwyciła i wyniosła z domu, najpierw na tydzień, później na miesiąc, aż w końcu i na dobre. Mieszkanie samo się nie spłaci, córka nie ubierze, a podręczniki nie przybiegną na papierowych nogach z księgarni – Kasia w końcu nie wytrzymała. Nikomu nie powiedziała, a mimo to wszyscy wiedzieli. Że pojechała na wieś do schorowanych rodziców. Że wsiadła w pociąg, wydając ostatnie drobne na bilet normalny plus ulgowy w drugiej klasie osobowego i przez całą drogę przeklinała los, który postawił na jej drodze Pielgrzyma.

A co on robił? Mógłbym pójść o zakład, że leżał w jakiejś piwnicy i trzymał butelkę wina czy pierś Gurlagi, jednej z tych osiedlowych szantrap, których trzeźwy człowiek nawet nie dostrzega. A jego żona tłumaczyła Darii, że „tatuś musiał wyjechać”, i tłukła się pociągiem do zmęczonego ojca i chorej matki, którzy łudzili się nadzieją na spokojną starość. Jechała tam z walizami wstydu i ciuchów z lumpeksu, licząc, że wyżywi ich Pan Bóg, albo chociaż KRUS.

Nie wiem, jak jej się później ułożyło, słyszałem tylko, że ucieczka z miasta ostatecznie ją złamała, że Kasia nie podniosła się już po ciosie, który zadał jej mąż. Wiem natomiast, co robił Pielgrzym – urzynał się w trupa.

W każdej rodzinie znajdzie się podobny przypadek mężczyzny, który nie daje sobie rady z życiem i trzeźwością. Oni wszyscy kończą niedobrze, ale Pielgrzym skończył najgorzej. Tak to przynajmniej teraz wygląda.

2

Głównym bohaterem życiorysu Pielgrzyma nie jest sam Pielgrzym, lecz jego alkoholizm. W moim własnym życiorysie bohatera głównego zabrakło; motywem przewodnim jest tu brak motywu przewodniego.

Zdarza mi się czasem niemal fizycznie odczuwać tę ni-jakość, to rozdrobnienie, które przez całe życie popycha mnie ku różnym zajęciom i pasjom, te zaś z początku porywają mnie i wstrząsają, dając jednocześnie siłę, aż w końcu dławię się nimi i porzucam dla innych, albo wręcz przeciwnie – uczepiam się ich na siłę i bez przekonania.

Dziesięcioletni, znosiłem do domu kapsle, puszki i naklejki z wafli Kukuruku, z pasją kolekcjonowałem szeleszczące skarby z gum Turbo i okruchy komiksów z balonowego Kaczora Donalda, później zwróciłem się ku nalepkom z czipsów i plastikowym kółeczkom promującym *Gwiezdne wojny*, te z kolei wyparte zostały przez zeszytowe powieści Maya i kupowane za pierwsze kieszonkowe lśniące numery „*Magic Basketball*”; zaraz jednak odkryłem w sobie fascynację podkładkami pod

piwo, a w szufladzie spiętrzyły się stosy magnetofonowych kaset i barwnych okładek „Popcornu”.

Rwałem się ku wszystkim możliwym kursom, po kilku spotkaniach porzucałem je, upojony perspektywą uczestnictwa w kolejnych, zbierałem góry przedmiotów i wyrzucałem je. Wiele namiętności zatarło mi się w pamięci, przytłoczone kolejnymi. Niektóre zostawiły po sobie ślad.

Tatuaż na łydce to jeden z nich, innym jest blizna nad kolanem, pozostałość po skoku na deskorolce, w szafie starzeje się zbyt ciasne już kimono i kruszeją gumowe paski okularów – pamiątki po miłości do basenu, przenośne dyski zawalone są obejrzanymi filmami, regały pełne czasopism nieotwieranych od lat, w portfelu prawo jazdy na motocykl, samochód i ciężarówkę z przyczepą, w głowie mgliste wspomnienie sportowych szaleństw i pijackiej brawury, w piersi – czarne worki płuc. Pałę do dziś.

Pielgrzym zawsze był Pielgrzymem, choć nikt nie wie dlaczego, za to mnie nigdy nie obdarzono przezwiskiem – gdyby tak się stało, nazywaliby mnie Zbieraczem lub Kolekcjonerem.

Obecną pasją Kolekcjonera są bunkry.

Wspólnie z Waflem przeczesaliśmy już jedenaście fortów położonych na obrzeżach miasta – te wielkie, zanurzone w pagórkach pomieszczenia, setki metrów korytarzy, połączone ze sobą podziemne budynki, wielopiętrowe schrony, tunele, schody, szczury i nietoperze.

Bunkry, tak, to mnie teraz trzyma najmocniej. Za miesiąc, być może, nie będę już o nich pamiętał.

Odnalazłem niedawno kolejny: piękny, potężny fort przy Piaskowej, i z przyjemnością odbywałem odważne wędrówki palcem po monitorze laptopa, podniecony przeglądałem zdjęcia i zapoznawałem się z historią tego miejsca, oczyma wyobraźni dostrzegałem tunele i wodę skraplającą się po ceglach ścian, wąskie przejścia, którymi trzeba się czołgać, gwoździe, szmaty i butelki u stóp, pełne skorodowanych przedmiotów pomieszczenia i belę światła wypływającą z latarki, by to wszystko odsłaniać.

Moc wrażeń. Kolekcjonowałem je w głowie.

3

Rano zadzwoniła ciotka Bożenka z uprzejmym zapytaniem (ciotka stosuje wyłącznie uprzejme zapytania i w ogóle jest osobą nad wyraz uprzejmą), czy nie mógłbym znowu pomóc w jakimś małym malowaniu. Jasne, mógłbym, przede wszystkim dlatego że ciotka daje stówę za każde takie pomaganie, a jeśli mam szczęście – to nawet i dwie. Zapaliłem jeszcze, zerknąłem na kartkę pozostawioną w kuchni przez En, na schodach minąłem panią Hildebrandt i pobiegłem na strzeżony parking.

Nasz strzeżony parking to bardziej parking, a mniej strzeżony. Powitał mnie ochroniarz, staruszek pozba-

wiony słuchu, wyposażony za to w poczucie humoru i grupę inwalidzką.

Wręczyłem mu laminowany karnet, dopiąłem paski rękawiczek, ściągnąłem usztywnienie kurtki, na głowę nasunąłem kominiarkę i kask, czując jednocześnie przyjemny, delikatny wzrost adrenaliny.

Jeżdżę Yamahą YZF-R1.

Odsunąłem motocykl od ogrodzenia, wbijając czubki butów w zwirowane podłoże i przytrzymując udami masywny bak prawie dwustukilogramowej maszyny. Kciuk na starterze, pomarańczowoczerwony błysk kontrolki, wibracja spływająca na przedramiona z kierownicy, basowy pomruk silnika, podeszwa lewego buta uderzająca stopkę, w uszach cichy trzask zamykanej szyby, trzy szybkie ruchy manetką na jałowym biegu, trzy głośne warknięcia odczuwane w uszach i na całym ciele, lewa dłoń na sprzęgle i lewa stopa oderwana od ziemi, gwałtowny chrzęst wrzucanej jedyńki, towarzyszące mu ledwie zauważalne drgnienie maszyny, prawa stopa, jadę.

I wtapiam się w miasto.

4

Kilka minut później byłem już pod blokiem, czterokrotnie wduśliłem przycisk domofonu, zastanawiając się, dlaczego Bóg zesłał na ciotkę Bożenkę dolegliwość straszliwego uwielbienia muzyki poważnej.

Niejednokrotnie pracując u niej fizycznie przez cały boży dzień, zmuszany byłem do wielokrotnego odsłuchania Wielkiej Mszy h-moll, a w przerwach puszczano mi etiudy Debussy'ego i kantaty kościelne. Z głośników sący się też często nużący Ravel i mdły De Falla, denerwujący Szymanowski i Clementi, ciotka chłoszczę mnie też Paganinim.

Zaciskam zęby i dłoń na pędzlu, przełykam te dźwięki, brnę przez nie i zaklinam zegar, byle to przetrwać, byle przetrwać, uściskać ciocię, a potem – przyjemny banknot.

Ciocia Bożenka liczy sobie siedemdziesiąt lat, jest niska, korpulentna, ma wielkie uszy i obezwładniający uśmiech. Wydaje się sprzężona z maleńkim mieszkaniem; co chwilę odruchowo opiera się o komodę, przysiadła na skraju meblościanki, chwytła futrynę, delikatnie odbija się od ścian i tak porusza się – z roku na rok coraz słabsza – po trzydziestometrowej kawalerce.

Aby dostać się do środka, nie wystarczy zapukać lub zadzwonić. Uczynić to należy dokładnie cztery razy. Raz, dwa, trzy, cztery; sterczałem na klatce, zastanawiając się, czy nie zaparkowałem motocykla zbyt blisko boiska, aż wreszcie usłyszałem szuranie łapci: *szurrrr, szurrrr*, ciocia chodziła, kołysząc ciałem z nogi na nogę.

Zgrzytnęło, przy judaszu rozległ się ciężki, zmęczony oddech, wreszcie zabrzączał łańcuch, a drzwi uchyliły się nieznacznie i twarz ciotki Bożenki rozświetlił uśmiech – ona sama potoczyła się ku mnie z czułym „Karolek!”.

I tak weszliśmy, zanurzając się w zapachu suszonych kwiatów i grzybów, wiszących setkami na kaloryferze – a w tle przygrywał Paganini.

5

Po trzech godzinach miałem ochotę zatłuc ciotkę pędzlem.

Wreszcie zwlokłem się z taboretu. Tępo popatrzyłem na efekt pracy (biały sufit, żółte ściany w przedpokoju) i poddałem się przyjemnemu uczuciu ulgi. Mała godzinka na wykończenie i umknę do domu.

– No usiądź sobie, wreszcie, Karolek, bo mi tu padniesz. Herbatki? Kawki?

– Kawki.

– Mam dla ciebie pączki. Wyjmować?

Przytaknąłem ochoczo – pączki uwielbiam. Na stole pojawił się talerz, a uśmiech znowu wypętlł ze zmarszczek na twarzy ciotki i rozścielił się od jednego wielkiego ucha do drugiego. Starzy ludzie uśmiechają się pięknie, podobnie jak dzieci. Ułomność ciała i umysłu powoduje, że uśmiech staje się szczery – ci zdrowi, w sile wieku, nie potrafią uśmiechać się w taki sposób. Ja też nie umiem.

Miło spoglądało się na talerz z czterema pączkami, każdy iście monstrualnych rozmiarów, oraz kawę w kubku z napisem „Ziołolek”.

– No i co tam u ciebie, powiedz, Karolek? Wszystko dobrze? Co u Natalii?

Zmieliwszy pączka, odparłem:

— No, szukam pracy, Natalia się wreszcie wyleczyła z grypy, w biurze ma dużo pracy, a tak poza tym ogólnie wszystko dobrze.

Grzmiał Czajkowski.

— Pyszne pączki. Rewelacja...

— A te akurat kupiłam ci tu, o, w budce na dole, nie daleko. Taka sprzedaje pani, co to jej mąż jest chory, ma raka trzustki chyba, bardzo porządna kobieta.

Zamyśliła się, uśmiech zniknął, pojawił się za to palec uniesiony w górę.

— O, a mi się teraz przypomniało, co ci miałam powiedzieć. Dobrze żeś zapytał o te pączki. Słuchaj, ty słyszałeś o tym mężczyźnie, co to go wczoraj podobno znaleźli nieżywego w mieszkaniu na Długosza?

Bezlitośnie chwyciłem kolejnego pączka (ociekał lukrem!) i odgryzłszy potężny kawał, pokręciłem przecząco głową.

— Nehłyhałem.

— No bo mi właśnie ta mówiła, ze sklepu, ta od tych pączków. Przedwczoraj, wyobraź sobie, przyjechała na Długosza policja, nie wiem już do której kamienicy, ale to nieważne jest. A przyjechali, bo sąsiadom coś tak już od paru dni śmierdziało i śmierdziało. Najbardziej spod drzwi takiego pana, który rzadko ostatnio wychodził, więc się przestraszyli, że może tam w środku umarł.

Upiłem łyk kawy i ukradkiem zerknąłem na zegarek stojący na telewizorze za ciotką – trzeba być czujnym, opowieści ciotki Bożenki potrafią rozrastać się w nieskończoność.

– I umarł? – podtrzymałem rozmowę, choć średnio mnie obchodziło, czy umarł, czy nie umarł; interesował mnie pączek numer trzy.

– Umarł. Tylko wiesz, co się okazało?

– No?

– Że nie miał w mieszkaniu ani kuchni, ani łazienki.

Zastanowiłem się, mieląc w ustach resztkę smakołyku:

– Może mieli wspólne toalety, na korytarzu?

– Nie, mieli w mieszkaniach. Pani Basia mówiła jeszcze, i to jest najdziwniejsze, że wyobraź sobie, w dowodzie osobistym, który tam znaleźli, widniało nazwisko, którego nigdzie nie ma.

– To znaczy?

– Jest w dowodzie – tu ciotka przechyliła się na prawo i sięgnęła do pokrętki, ścisząc muzykę – ale nie ma nigdzie indziej. Ani w rejestrach żadnych, ani w spisach ludności, ani w wykazach mieszkańców. Nic. Nigdzie nie ma.

Rozmawialiśmy tak dalej, ciotka upierała się, że sprawa dziadka bez kuchni i łazienki to wielka zagadka, a ja, z ostatnim pączkiem w dłoni, spoglądałem niewesoło na ściany, rachując, ile jeszcze czasu przyjdzie mi tu tkwić.

Chwyciłem pędzel i wszedłem na taboret, głośniki zatrzeszczały i wypluły z siebie opus Beethovena.

6

Pociągnięcie pędzlem w lewo, pociągnięcie w prawo, minuta za minutą, zerkając na mozolny dygot sekundnika, dotrwałem do finału.

Jeszcze tylko umycie wałka i pędzla, jeszcze no usiądź na chwilkę odsapnąć, jeszcze rozmowa o tym i o tamtym, uśmiech, dziękuję kochany, banknot w małej dłoni, to ja dziękuję, ciociu, jeszcze buziak, jeden, drugi i trzeci, pozdrów Natalię, pozdrowię, jeszcze tylko machanie dłonią zza zamykanych drzwi i znowu mogłem usiąść na motocyklu.

Z ulgą wsunąłem kluczyk w stacyjkę i uruchomiłem basowy, nieporównywalny z innymi, pomruk litrowego silnika.

Kurtka przyciskająca się czule do brzucha, kolejne biegi przedzielane sprzęgłem, po bokach rozmazane plamy szarości, uciekający asfalt, wstążki podwójnych ciągłych i to, czego nie da się opowiedzieć, to, co oddziela motocyklistów od niemotocyklistów, adrenalina doprawiona strachem, huk powietrza przecinanego głową w kasku.

Za zakrętem kaszlnąłem, zrobiło się białe, uchyliłem szybkę i zwolniłem.

Pielgrzym.

Siedział na trawie kilka metrów od ulicy, nad nim obdarte wspomnienie billboardu reklamującego lody Koral, obok jego prywatny eden: skulone, brudne wspomnienie po kobiecie i litrowa butla spienionego piwa.

Zsiadłem, kask zawisł na kierownicy, rzuciłem Pielgrzymowi krótkie „cześć”, odpowiedział ruchem głowy, wpatrzony w osiedle przed sobą, cichy, nieruchomy włóczęga, ogryzek po człowieku.

Nosił przedpotopową kurtkę z nadrukiem Chicago Bulls i czarną bejsbolówkę, a z prawego buta wyglądały ciekawe światła paluchy. Dziewczyna miała na sobie obszerny sweter i dżinsy postrzępione u dołu. Spała. Rozpoznałem w niej Gurlagę.

Zapytałem, co słyhać, odparł, że co ma być, zaproponowałem podwiezienie na osiedle, skrzywił się, pokręcił głową, wydawało się, że najchętniej pozostałby tam na zawsze, zapuściłby korzenie w trawniku, byle tylko butelkę ktoś mu uzupełniał.

— Chcesz tu siedzieć jak... jak jakiś menel? — Nie dawałem za wygraną. — Dalej, wstawaj, podrzucę cię, prześpisz się na siłowni, kupię ci coś do żarcia.

— Nie chcę.

— Nie chcesz.

— No nie chcę.

— To co będziesz tu robił?

Przyglądał mi się, mrużył oczy, uniósł głowę i beknął.

— Będę sobie tu siedział.

— I co dalej, jak już sobie posiedzisz?

— Moja sprawa — powiedział i beknął ponownie.

Zagapił się w niebo, oparte o dach Biedronki naprzeciw, równie szare jak bloki na osiedlu za jego plecami.

— Powinieneś wziąć się w garść — powiedziałem i czułem, jakbym nic nie powiedział, Gurlaga leżała nieruchoma, Pielgrzym wydawał się nie słuchać.

— Po co? — zapytał w końcu.

— Jak to po co? Spójrz na siebie, człowieku, nie masz mieszkania, nie masz już żony, dziecka, nic nie masz... Nawet głupich pięciu złotych nie masz w kieszeni. I tak chcesz dalej żyć?

— Pięciu złotych?! — Ależ się zagotował. Twarz mu poczerwieniała, szyją ciągnęła się żyła jak kciuk, a z oczu biło wściekłością. — Chcesz pięć złotych Pielgrzyma? Chcesz zobaczyć pięć złotych? To masz!

Wsadził rękę pod bluzę i wyszarpnął plik stu- i pięćdziesięciozłotówek. Ścisnął je brudnymi palcami, a na twarzy wykwitał mu uśmiech, jeden z tych, które pojawiają się na twarzach osób chcących udowodnić to, w co nie wierzą.

Gurlaga mruknęła przez sen i przewróciła się na bok.

— Skąd to masz?

— A co cię to obchodzi?! — wrzeszczał, aż ślina bryzgała mu z ust. — Już ty się nie martw o Pielgrzyma! Już wy się o mnie nie martwcie!

W takich momentach ogarniała mnie przemożna chęć, by złapać Pielgrzyma i siłą, wrzaskiem, szarpaniem

wyrwać go z letargu; zmusić, by wziął się do czegoś, czegokolwiek, byle nie tego, czym zajmował się od miesięcy, czegokolwiek, byle nie było to leżenie z Gurlagą na trawie w centrum miasta.

Opanowałem się.

— Jak chcesz — rzuciłem jeszcze, nasuwając kask na głowę.

— Jak chcę — odparł zamyślony i położył się powoli na plecach.

Odjechałem.